

# Serce Mroku

fragment

*Przewracając poźółkle stronice  
głodny lampart w twoich oczach  
i zapach napalmu o poranku*

*[Najlepiej czytać przy muzyce zespołu Rammstein]*

## I

Dotknąwszy stopą jej powierzchni, zgiąłem się w pół i zacząłem wymiotować. Z dysz wahadłowca szedł biały dym. Paale zatoczył się i upadł obok mnie. – Ale cuchnie! – jęknął. – To aż boli. Powiniennem mu siłą wydrzeć te filtry! – Prędzej czy później musicie się przyzwyczaić – rzekł z wysokości schodków pierwszy pilot. Nałożył noktokulary i zapalił papierosa. Może to pomaga, pomyślałem; dym papierosowy. Lecz sam w to nie wierzyłem. Smród był tak okropny, że w ciągu kilkudziesięciu sekund istotnie zaczęła boleć mnie głowa. Obtarłszy usta, pomogłem wstać Jürgenowi. Z lewej dochodził warkot samochodu, z każdą chwilą wyraźniejszy. Obejrzałem się: szare cienie pośród cieni czarnych. Najdalej wzrok sięgał akurat do stygnących dyszy: na Klinie nie da się wylądować polegając jedynie na napowietrznym ślizgu, trzeba manewrować aktywnie, wszak między innymi z tego powodu wybrano Klin na bazę, to kryjówka śródgórska dostępna jedynie po stromej paraboli. Sięgnąłem do kieszeni kurtki, rozerwałem nylonowe opakowanie i nałożyłem firmowo nowe noktokulary Zeissa. Popielaty monochrom uderzył mnie w źrenice. Mężczyzna w toczącym się ku nam *FTM-ie* machał ręką. Poznałem: to von Miltze, tylko że z brodą. W oddali, za jego plecami, majaczyły blaszane baraki. Dżungla zaczynała się tuż za nimi, brudnymi falami dzikiej roślinności wspinała się po zboczach otaczających nas gór, wyżej i wyżej, ku wiecznej półciemności nieba Mroku.

Von Miltze zatrzymał się przy nas, uchylił drzwiczki. Bez słowa zajęliśmy miejsca. Zawrócił – po czym wdepnął gaz aż wcisnęło nas w fotele. Za naszymi plecami – widziałem to w ciemnych odbiciach lusterek wstecznych – wahadłowiec zaczynał manewrować do ciasnego skrętu na końcu pasa. Von Miltze zanucił coś pod nosem, uderzył nasadą dłoni w kierownicę i nagłym wyrzutem lewej ręki włączył radio. Radiostacja Klinu nadawała ciężki tot frankfurcki, Wagner zaklęty w zgrzytach elektrycznych gitar i rozsąplowanym głębokim basie bębnow. Jechaliśmy przez monochromatyczny półmrok, nie używano tu reflektorów, nadto by oślepiały oczy za noktokularnymi szklami, które nosili wszyscy. Zapytałem von Miltze'a o windy. Wskazał przed siebie, za siebie, na boki. Wahadłowiec właśnie toczy się na Mamuta, rzekł podnosząc głos ponad muzykę. Te windy, widziałem to na trójwymiarowych planach Klina, przestrzeliwały masyw skalny szybami o długości ponad kilometra. Baza właściwa mieściła się tak głęboko pod powierzchnią gruntu Mroku dla zabezpieczenia przed atakiem jądrowym. Rosjanie, Japończycy i Amerykanie umieścili swoje centra w podobnych katakumbach. Uniosłem twarz ku ciemnemu niebu, wiatr – nareszcie ruch powietrza! – chlasnął mnie po twarzy brudną ścierką. Tam, ponad brunatno-szarym bagnem chmur, niewidoczne, krążyły po wciąż zmienianych orbitach wyrzutnie rakiet, nasze i ich; naszych cztery lub pięć, jak głosi plotka, bo to, rzecz jasna, tajemnica państwowa i nikt nie wie nic pewnego. Chodzą również plotki o platformach z działami laserowymi i mikroorbitalach z pojemnikami wypełnionymi śmiertelnie zjadliwymi bakteriami, nacelowanymi

genetycznie zarówno na nas, jak i na biosferę Mroku. Wyżej, po wyciągniętych, elipsoidalnych krzywych, okrążają planetę cztery statki: „Adolf Hitler”, „Herman Göring”, „Władza Ludu” i „Wschód”. Półtora roku świetlnego stąd amerykański „George Washington” mija się właśnie w drodze powrotnej na Ziemię ze swym bliźniaczym „Franklinem D. Rooseveltem”; „Roosevelta” ściga japoński „Orukina”, kolejne pięć lat świetlnych za nim sunie gigantyczny „Josif Wissarionowicz Stalin” ze stu osiemdziesięcioma tysiącami anabiozerów, a w każdym z nich cholerny komunista. Nieco szybciej od statków mkną zaś ku nam na elektromagnetycznej fali informacje i rozkazy z Ziemi. Chociażby: co zrobić z tym „Stalinem”? Zestrzelić zanim wejdzie na stacjonarną? Wojna by z tego była jak nic. Szlag, i tak jest wojna. Ten cały wyścig na Mrok nie ma najmniejszego sensu, Rzesza nic tu nie może zyskać, jedynie spada przezeń w coraz głębsze otchłanie deficytu budżetowego. Ale to polityka; nic tu po logice; daliśmy się złapać w klincz wzajemnej ideologicznej propagandy, teraz już wycofanie się z Mroku jest nie do pomyślenia dla żadnego z mocarstw. Kosmos pochłania miliard za miliardem. Gdyby nie chmury (*Mein Gott*, gdyby nie chmury...!) dojrzałbym światelko „Göringa”, przesuwające się wolno między obcymi gwiazdami. Przebyłem w tym światelku zimną nieskończoność, światelko wyrwało mi z życiorysu kawał historii, lata całe nawet według zrelatywizowanego zegara podróźnego: informacja o przeszłości wyprzedziła mnie i gdy obudzono nas w końcowej fazie hamowania, byłem do tyłu o ładnych kilka rewolucji politycznych, dotąd zdarzają mi się wpadki. Wyobrażam sobie, jaką reedukację będą musieli przejść po przecknięciu się ci czerwoni pionierzy ze „Stalina”, istne pranie mózgow, wszak miesiąc po ich zaśnięciu pucz NKWD zmiotł z Kremla Gruzłowa i jego ekipę, przez próżnię płyną już z pewnością nowe podręczniki historii ZSRR. To światelko, którego nie widzę, „Herman Göring”... chciałem się mu przyjrzeć z zewnątrz chociażby podczas odbijania wahadłowca, ale oczywiście nic z tego nie wyszło, znam tylko *Zifferrechenmaschinowe* symulacje, makiety w małej skali, zdjęcia z orbity Ziemi. Nikomu nie mówiłem: on jest piękny. Estetyka półkilometrowej konstrukcji z metali i tworzyw sztucznych i diabli wiedzą czego jeszcze – zauroczyła mnie od pierwszego spojrzenia; statki posiadają dusze kobiet, także te kosmiczne, także te pozaatmosferyczne, nie przeznaczone do lądowań na powierzchni planet, o kształtach niewyprofilowanych aerodynamiką do obłych strzał, stożków, deltoid, ich sylwetki nie ogranicza żadne prawo gazów, „Göring” najlepszym przykładem, kosmiczna katedra Gaudiego, tak, tak, właśnie tak mi się kojarzy, gdyby Gaudi projektował statki kosmiczne, wyszłoby spod jego ręki coś podobnego: kwiat czarnych metali, ażurowa strzelistość pseudogotyku, ciężkie a lekkie, a nieważkie, miliony ton masy spoczynkowej, choć gdy patrzysz z dala, widzisz tylko anielskie skrzydła, złożone i rozłożone, kręgosłupy wymarłych lewiatanów, łukowate żebra, asymetryczny wir czaszy odrzutowej, krzywą kadzielnicę anihilacyjnego ognia; statki posiadają dusze kobiet, nic dziwnego, że o okrętach mówi się „one”.

Windy. Wjeżdżaliśmy właśnie do tego blaszanego baraku, gdy kilkadziesiąt metrów dalej zapadła się ziemia i wychynął z prostokątnej mogiły czarny *Wiesel* z krzyżami *Luftwaffe* na aporportjonalnych statecznikach i skrzydłach. *Wiesel* należał do serii produkowanej przez Messerschmitta na specjalne zamówienie *AstroKorps*, wskazywał na to wyjściowy kształt skrzydeł o zmiennej geometrii oraz wybrzuszenia dodatkowych zbiorników paliwa. Nim opadły za wozem wrota baraku, ujrzałem jak w myśliwcu obracają się turbiny, buchnął spodeń brudny wiatr, wiry cienia, na ich krzywych słupach maszyna podniosła się chybottliwie na pięć, osiem, dziesięć metrów, wówczas pilot odpalił główne silniki i *Wiesel* uderzony stożkiem obrzydliwie białego ognia runął w gruboziarnisty monochrom wiecznie zachmurzonego nieba Mroku, w ciasnym zakręcie tnąc przestrzeń nad opadającym już na platformie megawindy wahadłowcem, z wahadłowca jedynie szary statecznik wystawał nad ziemię. Ale wrota baraku zatrzasnęły się i my również zaczęliśmy opadać. Zapaliły się lampy umieszczone dookoła na krawędzi podłogi windy, bluznęło na uciekające wwyż ściany wysokimi cieniami. Von Miltze zgasił silnik, wysiadł, przeciągnął się, klapnął na ziemię przy tylnej oponie, wyjął papierosy, zapalił. Usiadłem

obok. Zdjęliśmy noktokulary. Jürgen majstrował coś przy radiu, bo zeszło z fali. Von Miltze poczęstował mnie harwarem. Tu też śmierdziało, ale już nie tak, jak na powierzchni. Zacząłem coś mówić o tym odorze, mówiłem przez dłoń przyłożoną wraz z papierosem do warg, cicho i niewyraźnie; von Miltze kiwał głową ze zrozumieniem. To jedna wielka kupa nawozu, odezwał się, akcelerator biologiczny. Widziałeś zdjęcia Ognia Piekielnych, pytał retorycznie. Widziałem, widziałem; samozapłon metanowych gejzerów – wyziewów dżungli, które wychodzą spod powierzchni bioblota wielkimi bąblami – rozświetlał wieczną noc planety długimi sztandarami brązowego ognia. Niczym pochodnie na gazach oceanicznych platform; ocean dżungli Mroku jest miejscami smolście czarny, jego flora nie może sobie w fotosyntezie pozwolić na stratę choć kwantu energii. Siedzimy tu już drugą dekadę, mamrotał von Miltze, a nadal odkrywają nowe gatunki, i to jakie! – chociażby te stratopajaki, żeglujące od wulkanu do wulkanu; a po lasach jeszcze gorzej. Po lasach zawsze gorzej, tam żółte oczy w gorącej ciemności. Już niewielu *U-menschów* zostało w Krypcie. Na „Göringu” też przyleciało ich ledwo z setkę; i na ile to ma starczyć, na pięć lat? Wolne żarty. Może powinniśmy założyć tu własną hodowlę. Hydroponika niskich poziomów Klina daje przecież coraz większe nadwyżki ziemskiego białka. Ale samiec mało. Zresztą Fulke, znasz go, to ten sztywniak z SA – Fulke nie wyrazi zgody, jego podpis tu świętość, doprowadził sztukę egzegezy oficjalnych komunikatów do prawdziwego mistrzostwa, pojmujesz: on musi postępować podług wytycznych, które pozna dopiero po latach, przewiduje dziesięć kroków do przodu, to polityczny jasnowidz; jakiegokolwiek herezji publicznie by nie wygłosił, przytakuj mu i nie pytaj, bo on jest Strażnikiem Słowa, on niesie Płomień.

Winda zatrzymała się, rozsunięły się wrota. Łysy wąsacz w kombinezonie mechanika obejrzał się na nas przez ramię szcząc do lekko przyrdzewiałego wiadra, odgłos przypominał prucie blachy. Podsufitowe halogeny hali zapalały się i gasły w przypadkowych kombinacjach. Jürgen zadarł głowę. – Odszajba Sigfrida – wyjaśnił von Miltze. Sigfrid to główna administracyjna *Zifferrechenmaschine* Klina, model jeszcze sprzed dwóch generacji, ale jakoś dotąd nie zamontowano nowej maszyny, choć części spadły z „Göringa” już blisko tydzień temu. Para przysłanych razem z nimi specjalistów zdążyła tylko rozgrzebać do reszty oprogramowanie Sigfrida. Problem polegał na tym, że nie mogło być mowy o żadnym przestoju w pracy *Elektrogehirnu*, przejście powinno nastąpić całkowicie płynnie. Tymczasem okazało się, iż przez te wszystkie lata całkowitego odosobnienia Sigfrid wyewoluował tu w swych quasisieciowych strukturach do jakiejś przedziwnej, niekompatybilnej z niczym formy. – Świrus, świrus – mamrotał von Miltze maszerując ku drzwiom, nad którymi paliła się czerwona żarówka. Śluza. Oczekiwałem zmiany w powietrzu, ale jeśli jakaś zaszła, to na gorsze: do smrodu doszedł zaduch. Jaskrawe oświetlenie wciskało cienie pod powierzchnię plastikowych płyt pokrywających ściany korytarza. Von Miltze zatrzymał się i zaczął tłumaczyć Jürgenowi, jak ów ma trafić do swego pokoju – bo nie mógł go tam osobiście odprowadzić, miał polecenie dostarczyć mnie prosto pod drzwi Mundiego. Mundi czeka. Jürgen znał rozkład pomieszczeń w Klinie z trójwymiarowych map, którymi dysponowaliśmy na „Göringu”, każdy przechodził przeszkolenie z architektury bazy oraz geografii planety, żeby się permanentnie nie gubić na Mroku w pierwszych dniach po przylocie – ale co innego symulacja, co innego betonowy labirynt dookoła ciebie: Jürgen rozglądał się po korytarzach, gapił na piktogramy piętra i sektoru, kręcił głową... Zostawiliśmy go tak, z kartką papieru z nabazgranymi wskazówkami w jednej ręce i kieszonkowym *E-Notizbuchem* w drugiej.

– Powiedział „natychmiast”, no to „natychmiast” – mruczał von Miltze ciągnąc mnie nie kończącymi się korytarzami, windami i schodniami. Mijaliśmy mniej ludzi, niż się spodziewałem, chyba wyobrażałem sobie tłok i tłumy wypełniające Klin, bardzo głupio – w sumie spotkaliśmy ze dwa tuziny osób. Wszystkie z miejsca obrzucały mnie taksującym spojrzeniem, bezbłędnie rozpoznając nowego zesłańca z „Göringa”.

W końcu drzwi. Krzywo nalepiona plakietka: *Wandelsternführer Octavio Mundi*. Cóż za tytuł...! Von

Miltze zapukał, wetknął do środka głowę, mruknął coś w brodę, przepchnął mnie przez próg, machnął ręką, mrugnął, uśmiechnął się melancholijnie, a wykonawszy to wszystko zatrzasnął drzwi.

Były to chyba pomieszczenia prywatne *Wandelsternführera*, jego Klinowe mieszkanie, dosyć obszerne, wszak skały tu do przewiercenia pod dostatkiem. Salon musiał mieć ze sto metrów kwadratowych, podzielony był na trzy poziomy, na najwyższym stał fortepian, na klawiszach którego siedział czarny kot. Kot obrzucił mnie zimnym spojrzeniem i wrócił do lizania łapek. Za jednej z kanap leżały poplamione czymś spodnie, zaś na stoliku na środkowym poziomie, pomiędzy popielniczkami przepełnionymi niedopałkami, białe damskie majtki. W powietrzu, z którego odorem daremnie walczyła klimatyzacja, wisiał jeszcze zapach tytoniu i nieczystego alkoholu. Nawet umieszczony na ścianie naprzeciwko wejścia portret Hitlera był nieco przekrzywiony.

Z lewej doszedł mnie szum wody. Nadstawiłem uszu. Ktoś chyba śpiewał pod prysznicem. Zdołałem nawet rozpoznać po wywrzaskiwanych męskim głosem końcówkach słów przebój sprzed dekady i już miałem ruszyć ku źródłu lirycznych ejaktacji, gdy śpiewak mnie uprzedził: zakręcił wodę i zamilkł. Zaraz sam pojawił się w salonie, zastając mnie niezdecydowanego i cokolwiek zmieszanego pośrodku pomieszczenia, nad owym ołtarzem nieświeżej bielizny.

Łażł kłapiąc mokrymi stopami i drapiąc się po włochatym tyłku. Z czarnej czupryny ciekła mu woda. Kłął pod nosem. Spozstrzegłszy mnie, uniósł brwi.

– Aa, z „Göringa” – mruknął. – Kto?

– Kapitan Erde – przedstawiłem się.

– Aa, rzeczywiście.

Wyminął mnie wierząc palcem w ucho i zniknął w drzwiach przeciwległych drzwiom prowadzącym ku łazience. Przez krótki czas jego nieobecności zdołałem wreszcie podjąć decyzję i usiadłem w najbliższym fotelu. Byłem w standardowym kombinezonie *AstroKorps* i zdawałem sobie sprawę, iż w kontraście do gołego Octavio Mundiego sprawiać muszę niemile służbiste wrażenie, zwłaszcza na tle dookólnego pobojujowiska. Niemniej nie zdobyłem się już na założenie nogi na nogę. Przeskok był zbyt nagły: jeszcze godzinę temu – „Göring”; teraz – wojskowy burdel. Różne chodziły o Mroku plotki, lecz żadne nie dorównywały rzeczywistości. Mój Boże, a myśmy na statku rozważali na serio problem salutowania do próżniowych hełmów...! „Rozprężenie dyscypliny”, dobre sobie, eufemizm godny biura prasowego kanclerza Rzeszy.

Wandelsternführer wrócił, nadal rozkosznie golutki, lecz już uczesany, z wielkim białym ręcznikiem z czarnym *Hakenkreuzem* na ramionach, z cygarem między żółtymi zębami. Przysunął sobie fotel i usiadł naprzeciwko. Nie zapalił cygara; gryzł je tylko, uśmiechając się do mnie z drapieżnie odwiniętymi wargami. Wyglądał na pięćdziesiąt lat; tak naprawdę miał czterdzieści trzy. Dostał tę posadę z uwagi na naciski nieniemieckiego lobby: jego ojciec był Włochem.

– A więc, kapitanie Erde.

– Tak, *Wandelsternführer*?

– Jak tam nasza stara, dobra Rzesza? Trzyma się?

– Nigdy nie miała się lepiej, *Wandelsternführer*.

Pokiwał głową. – Też tak myślałem. Nigdy nie miała się lepiej. Otóż to. – Krążył spojrzeniem gdzieś po ścianie. – A jak pierwsze wrażenia?

– Cóż, to na pewno jest wstrząs...

– Burdel, nie placówka wojskowa, prawda? – przerwał mi Mundi.

– Ależ...

– Aha. Aha. – Kiwał głową i gapił się na ścianę. – Wie pan, ile spędzi tu lat? – spytał nagle.

– Harmonogramy rotacji wciąż są dopasowywane do planów księżycowej stoczni, a w każdym razie

nie dogoniła nas informacja...

– „Adolf Hitler” miał odpalić już sześć lat temu, ze stu siedemdziesięcioma osobami na pokładzie. Do tej pory nie dostaliśmy wymaganego potwierdzenia. Nikt z nas nie wróci nigdy na Ziemię.

– Jankesi swojego „George'a Washingtona”...

– Ze szkieletową, na autopilocie. – Przeniósł wzrok ze ściany na mnie. – Wie pan, czemu „Stalin” ciągnie tu zapchany po burty czerwonym mięchem? To nawet nie jest kolonizacja – to ratunkowa infekcja wirusowa w ucieczce przed śmiercią pierwotnego nosiciela. Teraz będą mieli argument: nawet całkowite zgładzenie życia na Ziemi nie zniszczy naszego narodu! Pojmuje pan, kapitanie? Pojmuje pan, dlaczego nie posyłają nam więcej *Untermenschów* i zakazali ich hodowli? Włączyli do swych kalkulacji pośmiertne zwycięstwo ideologii. Teraz opłaca im się nawet kollaps Ziemi.

– *Wandelsternführer*, ja nie mogę...

– A wie pan, co mówi Fulke? – zaśmiał się ni z tego, ni z owego. – Że musimy postępować tak, jakby nadawcy tych rozkazów już nie istnieli. Był tu cmentarz, początkowo chowaliśmy naszych zmarłych, ale gdy liczba grobów przekroczyła dwadzieścia, kazałem ich wykopać i skremować; odtąd wszystkich kremujemy.

– Ja nie rozumiem, po co mi pan to...

– Mój drogi kapitanie, ja kreślę panu tło. Poleci pan do Piekła. Poleci pan do Piekła i porwie lub zabije Diabła, he he he. Wyruszy pan o jutrzejszym świcie.

– Co...?

– Wie pan, co to jest Piekło?

– Tak, ta nizina dorzecza Thora i...

– I wie pan, kogo zwą tu Diabłem?

– Nie.

– No tak. Opowiem panu pewną historię.

Tu jednak zamilkł i znowu oddał się kontemplacji ściany. Trwałem w bezruchu. *Poleci pan do Piekła i porwie lub zabije Diabła*. I ten jego śmiech. I te jego paranoiczne wywody: *ratunkowa infekcja wirusowa w ucieczce przed śmiercią pierwotnego nosiciela*. Czyżby Klin był w całości opanowany przez zdrajców? Ale przecież nawet na „Göringu” nie ma nikogo wyższego rangą i pełnomocnictwami od Octavio Mundiego, on tu wódz, jemu winienem posłuszeństwo i lojalność. Czy mam zatem udawać, że to normalne? Milczeć? Albo i przytakiwać?

– A może i nie – zdecydował przeniósłszy nagle spojrzenie na mą twarz. – Obejdzie się. Wystarczy krótkie wprowadzenie. Pan zdaje sobie sprawę ze strategicznego znaczenia Piekła, prawda? Granice wpływów poszczególnych państw wciąż są na Mroku płynne, trudno tu o jakiegokolwiek wiążące ustalenia, zwłaszcza, że ci na Ziemi uparcie odmawiają ratyfikowania jakichkolwiek traktatów. Gdybyśmy sami się jakoś nie dogadywali, dawno by już poszły w ruch te lasery i wodorówki, które pozawieszaliśmy sobie nad głowami. Oczywiście element zastraszenia odgrywa pewną rolę: aktualny stosunek sił nieuchronnie odbija się na tych negocjacjach. I nie wątpię, że nadal niewiele trzeba, żeby to wszystko trzasnęło... Przed wszystkim bowiem nikt tu nikomu nie ufa; jedno, czego możemy być pewni, to swej wzajemnej przyniewierności. Wie pan, że na przykład dowódcą Amerykanów jest Żyd? Taak. A Piekło stanowi obszar, do którego wszyscy roszczą sobie pretensje; zbiegają się tam granice trzech stref, a i żółtki mają doń dojsce przez morze. Jest to dzicz absolutna. Penetracja z powietrza nic nie daje, zresztą tam prawie nie ma gdzie wylądować; skany orbitalne też niewiele pokazują. Ślaliśmy piesze ekspedycje. Duże straty. Stopniowo w całości przerwaliśmy się na *U-menschów*. Ale i ich przecież nie mamy za wiele. Tymczasem rozpętała się ta afera z Kretowiskiem Ikisawy, Durchmann znalazł te malunki... No, to pan jeszcze usłyszysz w szczegółach od doktora Gaspa. W każdym razie w Piekło siedzi teraz Leszczyński i śle przez radio te swoje szalone manifesty, cała planeta go słucha. Raz, że mamy przez niego potworne

kłopoty natury, mhm, politycznej; dwa, że ludzie Gaspa ozłociliby mnie za wyciągnięcie z Diabła choćby połowy tego, co wie.

– Diabeł to ten Leszczyński?

– No tak; nikt już nie posługuje się jego numerem. Nie mieliśmy zresztą pojęcia, że cholerny *U-mensch* posiada w ogóle jakieś nazwisko, sądziliśmy, że pochodzi z tych skandynawskich farm hodowlanych; ale to przysposobieniec capnięty w ostatniej fazie. Tytułuje się hrabią...! *Mein Gott*, kim on się nie tytułuje...! Przesłucha pan sobie w drodze nagrania jego audycji, to wyrobi sobie zdanie. Nie mamy tu zwierzęcego psychologa, więc trudno coś prawomocnie wnioskować, ale mało kto zaprzeczy, że odjebało mu nielekkko.

Pozwoliłem sobie na okazanie pewnej dezorientacji i wahania: podrapałem się w szczękę, wydałem policzek. – Porwać lub zabić, mhm?

Zadzwoił telefon. Mundi z westchnieniem podniósł się i poczłapał do antycznego aparatu. Z dłonią na słuchawce ledwo uniesionej nad widelki obejrzał się na mnie ponad przykrytym białym ręcznikiem barkiem.

– Usunięcie go stamtąd też jest bez wątpienia ważne, ale on naprawdę wszedł w posiadanie pewnych, że tak powiem, tajemnic. Z drugiej strony... Ale niech pan lepiej porozmawia z doktorem Gaspem, kapitanie.

Też już stałem – najwyraźniej był to koniec audycji.

– Jeszcze tylko jedno, *Wandelsternführer*. Dlaczego ja?

– Pan zna polski, kapitanie. Poza tym to była droga eliminacji a nie specjalne zamówienie, niech pan sobie nie pochlebia; któraś strona monety zawsze musi być na dole i nie ma dla niej żadnego „dlaczego”. Życzę powodzenia.

– *Heitla!*

Zanim wyszedłem, usłyszałem jeszcze krótką wymianę zdań Mundiego z programem łącznościowym, po czym *Wandelsternführer* przeszedł na rosyjski. Czy on ma tu założoną bezpośrednią z Podcerkwią? Najwidoczniej. Warczał do słuchawki w złości i irytacji. Drzwi zamknęły się.

Dokąd teraz? Ani myślałem błąkać się tu jak Jürgen. Gdzie w ogóle znajduje się moja kwatery? Trzeba zasięgnąć informacji od Sigfrida. Terminale powinny się znajdować na każdym skrzyżowaniu. Na najbliższym wszakże ich nie było. Złapałem za ramię przechodzącego młodzieńca w lotniczej kurtce z cokolwiek przyśniedziałymi srebrnymi emblematami *AstroKorps*. W odpowiedzi na zapytanie machnął ręką w lewy korytarz i mruknął coś o barze. Po dwóch krokach przystanął i obejrzał się. – Z „Göringa”? Gdzie dziewczyny? – He? – Z jego dalszych słów wywnioskowałem, iż oni tu już od dawna ostrzyli sobie zęby w oczekiwaniu na nasz przyłot, znali bowiem listę załogi „Göringa”, na której to liście co trzecie nazwisko należało do kobiety – podczas gdy dotychczasowa proporcja płci wśród mieszkańców Klinu wynosiła sześć do jednego na niekorzyść kobiet. – Na naszą niekorzyść! – parsknął lotnik zapalając papierosa. – Kiedy wreszcie je wysadzicie? – Dopiero co zaparkowaliśmy...

Terminale w barze wbudowane były w ladę szynkwasu. Metalowo-plastikowa automatyczna bogini Kali serwowała z za niego bezalkoholowe trunki; prócz mnie jedynym klientem był starszy facet w przetartym na łokciach swetrze, podrzemujący nad jakąś kieszonkową powieścią i szklanką gęstego soku brunatnej barwy. Wsunąłem kartę, terminal rozpoznał użytkownika. Błysnęła ikona poczty. Rozwinąłem. Doktor Gasp prosi o jak najszybsze stawienie się w 125A4XII. A gdzież to jest? Wywołałem mapę. Moją kwatery od gabinetu doktora Gaspa dzieliły dwa piętra i siedem zakrętów – a od tego baru... Zgubiłem się wodząc palcem po ekranie. Nic dziwnego, że to taki labirynt, skoro rozbudowywali kompleks Klina sukcesywnie, latami całymi, ryjąc diamentoszczękami kombajnami kolejne tunele i kawerny.

Facet w swetrze pierdnął przez sen i podrapał się po obojczyku. Ośmioręki barman skrzyział sunąc

wzdłuż szynkwasu, zamaszystymi wymachami pozornie wątłych kończyn polerując ładę. Czyja to zabawka, ciekawym; jakiś żart inżynierów. Zarządziwszy wydruk pełnego planu Klina, wybrałem z podświetlonego menu sok z czarnej porzeczki. Maszyna odliczyła dwieście dwadzieścia marek. Nic darmo, nawet dla zdobywców kosmosu. Sok zresztą miał w sobie z czarnej porzeczki jeno barwę. Zebrałem wydruk i ruszyłem ku windom.

Część korytarzy, którymi szedłem, pogrążona była w półmroku. Kilkakrotnie wdepnąłem w dostrzeżone poniewczasie kałuże jakichś smarów, od których potem lepiły mi się do podłogi podeszwy butów. W poukrywanych gdzieś pod sufitem głośnikach dwakroć zabuczało, przechodząc w wysoki pisk sprzężenia. Na wewnętrznej stronie drzwi windy ktoś wydrapał karykaturę kanclerza Hödla, rzucały się w oczy zwłaszcza obwisłe uszy.

Wszystko to razem przywodziło na myśl raczej podziemny *Lager* w fazie likwidacji, aniżeli obcoplanetarną bazę Trzeciej Rzeszy. Nie tak, nie tak byłem ją sobie wyobrażałem. Odpędzałem od siebie gorzkie myśli, nastrój jednak nieuchronnie pogarszał mi się z każdą minutą. Na dodatek zimny strach skręcał mi żołądek na każde wspomnienie słów Mundiego. Jutro rano! Do Piekła! Porwać lub zabić! Sok burzył mi się w jelitach, bezsmakowa ciecz sekretnego pochodzenia wracała teraz do gardła falami goryczy. A jeśli to prawda? Jeśli rzeczywiście – do śmierci...? Mrok. Bez powrotu. W tej windzie, prócz własnego odoru planety, unosiła się woń amoniaku. Oparłem się plecami o zimną ścianę, przeszedł po mnie dreszcz, zdałem sobie sprawę z wilgoci pod kombinezonem. Wytarłem grzbietem dłoni czoło: zimny pot. Zawarczałem przez zęby bezsilne przekleństwo. Jedno jest życie i tylko raz można je przegrać.

Gasp dyktował właśnie swej *Zifferrechenmaschine* poprawki do jakiejś statystyki. Spojrzał na mnie sennie ponad okularami. Okutany był w ciemny, kraciasty koc, ściśle niczym egipska mumia, tylko ręce i głowę miał wolne, a na głowie słuchawki, a w rękach: lewej – jakieś papiery; prawej – wielką chustę. Co chwila wydmuchiwał w nią nos. Wymieniwszy uprzejmości, wszedłem i usiadłem na jedynym pustym krześle, bowiem na pozostałych – oraz na stole, na podłodze, na półkach i, na ile mogłem to dojrzeć przez uchylone drzwi, w sąsiednim pomieszczeniu – leżały mniejsze i większe, zamknięte i otwarte, szare, plastikowe pojemniki, zawierające – przynajmniej te otwarte – okazy flory i fauny Mroku, zatopione w kryształicznie przejrzystych bryłach twardej materii, zamrożone, zsekcjonowane, rozpięte na skomplikowanych stelażach, pokrojone w cienkie, niemal dwuwymiarowe preparaty, a także żywe – żywymi w każdym razie były te dwa czarne jak węgiel zwierzątka wielkości i kształtu chomików, drapiące powolnymi ruchami sześciu łapek w pręty włożonej w pojemnik klatki.

Gasp kichnął, zsunął słuchawki (jakaś opera), wydał *Zifferrechenmaschine* komendę zamknięcia aplikacji, kichnął raz jeszcze, po czym sapnął: – Gasp.

Zrozumiałem, że się przedstawił.

– Erde.

– Ech. Uch.

– Co to jest? Ul?

– Bóg jeden wie. Ponoć zsyła dziwne sny.

Skórzasty, brązowy wór zwisający z sufitu w rogu pomieszczenia nad głową bezustannie doktora drżał, jego powierzchnia delikatnie falowała, dochodziło zeń niskie buczenie, na samej granicy słyszalności, człowiek mimowolnie przechylał głowę ku ramieniu. Do sufitu przymocowany był kilkunastoma mackami, których przylepy rozlały się po plastiku płyt owalnymi platformami. W istocie przypominało to organiczny ul, gniazdo wściekłych szerszeni bezskutecznie szukających drogi wyjścia zeń, otworu w skórze.

– Więc pan spróbuje odłowić Leszczyńskiego... No tak. Kiedy?

– Jutro.

– Aha.

Zmroziło mnie to „spróbuje”.

Chrząknąłem.

– *Wandelsternführer* Mundi sugerował, iż ma mi pan do...

– Tak, tak – Gasp zamachał ręką z chusteczką, wyglądało to, jakby usiłował ją wytrzeć. – A co pan wie?

– Nic. – Wykonałem ręką z wydrukiem planu Klina ruch, który miał być gestem irytacji i pogardy a okazał się, zwiędły w połowie, manifestacją mej dezorientacji. – Ja w ogóle... Ten Diabeł... Co to... Przecież...

– Aha.

Opuściłem rękę, odwróciłem wzrok.

– Ma pan może coś mocniejszego na splukanie tego smrodu, doktorze?

– Jakiego smrodu? A! Tam, proszę.

Nalałem i jemu. Samogon jakiś; ale przynajmniej wypalił flegmę w gardle. Gasp dla wychylenia szklaneczki podciągnął się na kozetce do pozycji półsiedzącej.

– Uch...! Za powodzenie pańskiej misji! Widzi pan, rzecz polega na tym, że on wciąż żyje.

Leszczyński, Diabeł. A nie powinien. Nie ma prawa. Pomijam tu już sprawę mikrodetonatora, musiał go sobie jakoś wydłubać, Fulke rwał sobie włosy z głowy, ślaliśmy pełną mocą sygnał aktywizujący przez kilka tygodni, ale bez skutku, drań wciąż nadawał. I chyba faktycznie poznał jakąś tajemnicę, bo to mija już siódmy miesiąc, tak, będzie już pół roku jak nic – a on żyje. A posłaliśmy go do Piekła, jak każdego *U-mescha*, z zapasem pożywienia starczającym jeno na dwadzieścia dni, żeby nie zdążył przejść do strefy amerykańskiej. Pan wie, oni dają *U-menschom* azyl, ci hipokrytyczni Jankesi, szlag by ich. Trzeba więc podludziom uświadomić przed wypuszczeniem, że jedyna ich szansa przeżycia leży w terminowym powrocie do nas, inaczej zdechną z głodu. Bo zdaje pan sobie sprawę, że flory i fauny Mroku i Ziemi są ze sobą niekompatybilne: nierównoległe ewolucje, pełna dywergencja, równie dobrze mogliby próbować żreć plastik. Ale Leszczyński jakimś cudem utrzymuje się przy życiu.

– *Wandelsternführer* wspominał coś o, mhm, kretowisku, i chyba malunkach, nie pamiętam nazwisk...

– Ach, tak. Rzeczywiście. To też. Nalej pan jeszcze z łaski swojej. Dzięki. No więc jeden z żółtków, Ikisawa, z wykształcenia zresztą fizyk, wystąpił z następującą teorią...

I tak to szło. Wór brzęczał. W pudełkach poruszały się zwierzęta. Siedziałem na tym niewygodnym krześle, pochylony ku charczącemu i skrzeczącemu doktorowi Gaspowi, mechanicznie przytakując jego słowom, z których coraz mniej rozumiałem, choć wszystkie wbrew sobie samemu ejdetycznie zapamiętywałem; siedziałem tam, ściskając w pocących się dłoniach plik pomiętych wydruków, przelykając gęstą ślinę i oddychając przez usta, Klin spoczywał na moich plecach masą milionów ton, garbiłem się coraz bardziej.

Pożegnawszy się z doktorem pognałem do najbliższej toalety, dwakroć myśląc wskazywaną laserowym szkicem *Zifferrechenmaschine* drogę. Tam zwymiotowałem. Spojrzałem w lustro nad umywalką, nawet niezbyt brudne. Twarz jak po zatruciu rtęcią, pot na szarej skórze – czy to jakiś miejscowy wirus? przecież nie wysła do Piekła chorego! Zacisnąwszy szczęki usłyszałem w uszach własny puls, przepływ gorącej krwi zagłuszający wszelkie inne dźwięki – szszumch, szszumch-szzszumchchch – policzyłem: sto. Jest źle, Erde, jest źle. Czy to jakiś spisek? Czy ktoś tu specjalnie stara się cię zabić? Bo w końcu cóż to innego, taka misja, jeśli nie wyrok? – posłać żółtodzioba drugiego dnia pobytu na planecie w najdziksze jej ostępy: śmierć. Przypomnij sobie: nie naraziłeś się komuś? Ale komu? Mundiemu? To niepojęte. Dlaczego? dlaczego? *Któraś strona monety zawsze musi być na dole i nie ma dla niej żadnego „dlaczego”*. Akurat...!

W przydzielonej kwaterze czekały na mnie bagaże przetransportowane tu w międzyczasie z wahadłowca: dwie metrowe paki, pięć worów, staromodna walizka, jeden standardowy kontener. A kwatery składała się z dwóch dość obszernych pokoi oraz łazienki, wszystko umeblowane z motelową pogardą dla jakiegokolwiek stylu czy choćby smaku. Bo i cóż to innego, jeśli nie hotel? Zatrzasnąłem za sobą drzwi. Spojrzałem na zegarek – pokazywał jeszcze czas „Göringa”. Przeprogramowałem go podług biurkowego terminalu Sigfrida na szesnastogodzinną dobę Mroku. Ile zatem pozostało do świtu? Niecałe sześć godzin.

Terminal, nie pytany, otworzył ikonę poczty. Dwa listy, jeden krótki, od niejakiego majora Blockego, podający adres, spod którego mam rankiem odebrać potrzebny sprzęt; drugi bardzo długi, od zastępcy *Wandelsternführera* Fulkego, istny elaborat. Ale wbrew pozorom niewiele w nim było dętej ideologii: Fulke bardzo jasno wykladał polityczne implikacje aktualnej sytuacji w Piekło, klarował pragmatykę tutejszej koabitacji i niejako mimochodem otwierał liczne nowe zagadki. Wydrukowałem list i dopiąłem do planu Klina.

Przysiadłszy następnie bezradnie na łóżku znowu spojrzałem na zegarek. Sześć godzin, trzysta sześćdziesiąt minut. Już zaledwie trzysta czterdzieści cztery. To dużo, przekonywałem się, to bardzo dużo, więc jeszcze nie musisz się denerwować. Otworzyłem jeden z worków i przebrałem się w ciemne spodnie, sweter, buty z cholewami. Precz z kombinezonami, skafandrami, *AstroKorpsem*, „Göringiem”! Mam trzysta czterdzieści cztery minuty i jestem wolny.

Ale zaraz ponownie skręcił mi się żołądek. Wychleptałem szklankę potwornie schlorowanej wody. Wolałem nie patrzeć ponad kranem w podświetlone lustro. Porwałem papiery i wyszedłem. Spać? Nie będę spał, sen to złodziej życia, wyżre dziurę w czasie, nagle okazałoby się, że oto już nadszedł świt i zatrzasnęły się kajdany; więc nie zasnę, nie zasnę, nie zasnę!

To już nie było przerażenie, to była panika o lekkim, miedzianym posmaku klaustrofobii. Nie oglądając się na boki, nie podnosząc wzroku, lękając się spotkania z kimś, kto rozpoznałby we mnie göringowca i wciągnął w rozmowę, przemknąłem się do pobliskiej osobowej hiperwindy, klepnąłem najwyższy przycisk, drzwi się zasunęły, podłoga napała na stopy. Znowu na zegarek: minuta, dwie.

Na powierzchni, bez zapomnianych noktokularów, przykryty zostałem półsferą miękkiej ciemności. Na dwadzieścia, trzydzieści metrów jeszcze coś widać w ćwierćcieniach i krętych smugach szarości – dalej już tylko mrok. Cholerne noktokulary. W którą stronę do starej stacji? Chyba tam. Piasek i żwir chrzęściły na betonie pod podeszwami mych butów. Budynek wyrósł przede mną z nagłą, niczym łeb albinosiego walenia wynurzający się spod gładkiej powierzchni morza nafty. Obszedłem go dookoła szukając głównego wejścia. Według słów von Miltze'a powinien tu, tuż za drzwiami, stać pojemnik wypełniony parami nocnych okularów już z lekka zużytych. Stał. Wszedłem, sięgnąłem, wybrałem, wyszedłem. Ktoś się za mną obejrzał, ale tylko wydłużyłem krok. Lewe szkło noktokularów było pęknięte i świat postrzegany posiadał odtąd skazę.

Mrok rozdarł się przede mną w szwach. Chmury, góry, chmury, niewiele więcej. Jakby istniało jakieś interpercepcyjne sprzężenie – bo wraz z odblokowaniem zmysłu wzroku ciężki smród planety uderzył w me nozdrza z podwojoną siłą. Co za ohyda. Przytłoczony tymi doznaniem na moment zapomniałem o strachu i jego powrót przyspieszył mi teraz puls jeszcze bardziej.

Minęły mnie dwa samochody, musnął podmuch spiralnego wichru wznieconego lądowaniem śmigłowca. Przy urwisku jednak, gdzie nie sięgał beton, nie było nikogo. Tu przysiadłem, zwieszając nogi w przepaść. Buty nagle zaciążyły mi kilogramami martwego balastu, niemal czułem jak zsuwają mi się ze stóp w otchłań. Urwisko – czy zatem zamierzałem się zeń rzucić? Nie, skąd; dopiero teraz przyszło mi to do głowy. I tylko uśmiechnąłem się w duchu. Co to, to nie; nie jestem typem samobójcy.

Zegarek: trzysta trzydzieści. Potrafię rozpoznać miejsca, w których czas zwalnia, i to było jedno z takich miejsc. Nie zasnę. Będę siedział i patrzył. Do świtu daleko, daleko. Ale i co to za świt? – czy

w ogóle ujrzę słońce przez kozuch tej naniebnej zawiesiny? Gdzieżby. To Mrok.

Prawda, przyznaję się, jestem tchórzem. Zawsze byłem, odkąd pamiętam towarzyszył mi strach i strach przed strachem; w beznadziejnej walce z nimi zdobywałem się na coraz bardziej szaleńcze gesty, straceńcze decyzje, akty przerażenia, które jedynie inny desperat potrafi rozpoznać jako takie, pozostali biorą je za dowody niebywalej odwagi i hartu ducha. Takim też sposobem, splotem owych dopingowanych strachem najstraszniejszych z możliwych wyborów, znalazłem się w *AstroKorpsie* i potem na liście załogi „Göringa”: ponieważ to wzbudzało we mnie największy lęk. Nie twierdzę, iż jest w tym choć szczypta logiki; są za to ciemne otchłanie mej depresji, tysiące bezsennych nocy, lata daremnej ucieczki przed zwierzętami umysłu. Polują. Słyszę je. Te wycia. Gorący oddech na mej szyi. Wystarczy, bym choć na moment przestał udawać – i dopadną mnie, rozszarpią. Więc nie mam wyjścia, muszę przeć naprzód. A wszak mógłbym teraz przepędzać beztrioskie dni w rodzinnym majątku w Guberni, polować samotnie w okolicznych lasach, wędrować przez chłodne, cieniste ostępy, otulony zamszową zielenią, zanurzony w zapachu nagrzanej ściółki... Nie, nie mógłbym; nie ja.

Trzeba mi zapomnieć o ziemskich woniach. Odtąd tylko smród Mroku. Trzeba mi zapomnieć o Rembrandtowskich światłocieniach słonecznego popołudnia w letnim lesie, odtąd tylko czarne puszcze, czarne niebo, czarny wiatr. Choć po założeniu noktookularów nawet czerń zyskuje na barwności. Z pozoru rzecz polega na stopniowaniu szarości, lecz wystarczy kilkanaście minut, bym podświadomie zaczął rozpoznawać w niej kolory. Na południe od płaskowyżu Klina rozpościera się bagienna Równina Krów. Kryje ją na wysokości siódmego piętra brunatny kobierzec spleciony z koron pseudofungusoidalnych nibydrzew zarastających wszystkie bagna tego kontynentu powyżej Zwrotnika Raka. W zależności od kierunku, w którym wieje wiatr, brunatna fotofilna powłoka puszczy jaśnieje bądź ciemnieje: dendrogrzybiczne analogi liści z jednej strony są niemal czerwone. Wiatr to cichnie, to się wzmacnia, obraca lekko ich płaszczyzny – i oto po powierzchni puszczy idzie fala głębokiej purpury. A puszcza ciągnie się aż po horyzont, jedynie na wschodzie wyrasta zeń szereg wulkanów, ich broczące lawą stoki nawet z tej odległości płoną brudną żółcią. Ponad wulkanami wznoszą się do chmur odwrócone stożki dymu, na wpół spopielonej materii podnoszonej do orbity nigdy nie rzednącego gazowego płaszcza biosfery Mroku. To nawet nie są chmury w ziemskim znaczeniu tego słowa. Płaszcz ma kilka kilometrów grubości, buzuje tam w nim inne życie: kolonie lżejszych od powietrza mikroorganizmów; quasiwirusowe zawiesiny skolooidowane z tysiącami dzikich mieszanin wielkocząsteczkowych związków chemicznych, niesione przez globalne prądy latami i latami w poszukiwaniu ofiary; i bazujące na fotosyntezie jednokomórkowce, co jakiś czas wzbijające się na konwekcyjnych frakcjach do górnych warstw powłoki; i wodorochłonne symbiostaty – wszystko to kotłuje się tam bez końca, niczym w pełnym wrzątku garze, a rozbulgotaną powierzchnię ukropu można tu oglądać odwróconą wbrew grawitacji ku dołowi. I tak odmieniają się barwy ciemności, gdy wynurzy się naraz spod pomarszczonego dywanu zanieczyszczonej pary wodnej rzeka chmurnego życia: domyślne brąz, sepia, czasami nawet ciemna zieleń. A potem znowu zniknie bez śladu. A obok łeb innego potwora: gigantyczna globula kultury radioaktywnych beztlenowców. Za nią łysnie krótki piorun, drugi, trzeci, dziesiąty. Burzy się, marszczy i splata w wir ciemnogramatowa składowa naniebnego chaosu: to polaryzmy – organizmy indukujące i pochłaniające wyładowania elektryczne – pędzą do pożywienia, do źródła energii. Uczta przesuwa się ku wulkanom, filary dymu kładą się ku zachodowi, wiatr zakręca, puszcza płonie purpurą, wybucha gdzieś w jej mrocznych ostępach metanowa bomba, upust reszty gazu wznosi nad dendrofungusami proporzec poziomego ognia; pioruny tymczasem biją już w magmowe kaldery, eksploduje z trąb popiołu siny fiolet, wirująca rozgwiazda objęta eliptyczną galaktyką ogni świętego Elma wznosi się ponad rzygający stożek, odbija od piorunów, chmury sięgają ku niej macką nieprzenikalnej dla wzroku szarości, otwierają się niebiosy i rusza wodospad fosforyzujących biało powietrznych glonów; gasną pioruny, ręka szarości zaciska się na ćwierćkilometrowym

stratopająku, uśpione przez wieki wirusy teraz budzą się i przeprowadzają błyskawiczną inwazję, ognie świętego Elma nikną, szarość spada w krater, magma bluzga ponad krawędzie a w chmurach zamyka się lej wiru i rzeka aerożycia, niczym superszybki pociąg, zakręca, po czym znika pod – czyli nad – powierzchnią kobierca ciemnych gazów. Wiatr po raz kolejny zmienia kierunek. Wraz z falą zmiany sunie ponad Równiną Krów para myśliwców, sztylety ich ogni odrzutowych zapalają metanowy oddech bagna, *Wiesele* pozostawiają za sobą gasnącą powoli powietrzną aleję wykreśloną podwójną przerywaną linią krzywych płomieni. Spod mego urwiska śpiewa, przechodząc stopniowo w ultradźwięki, niewidoczne, nie znane mi zwierzę. Nie patrzę na zegarek. Nie boję się.

*Jacek Dukaj*

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)